

# I nagroda

Maksymilian Konaszewski (IV B)

## Legenda o Nadrzeczu

Król Ardagast wyrzął za wychodzące na zachód okno swej komnaty. Zmęczone całodniową wędrówką Słońce chyliło się mozolnie ku horyzontowi, pogrążając gród Nadrzecza w szkarłatnej połodze. Monarcha, niby zaklęty w posąg, szklistymi oczyma śledził zmierzającego na spoczynek kolosa, dopóki ten nie schował swojego oblicza za strzępiące horyzont pasmo Zachodnich Gór. To właśnie tam, wśród niedostępnych lazurowych źródeł, swój początek brała Mirawa. Jej ciemnobłękitne wody dumnie spływały z usłanych bujnym kwieciem wyżyn, aby paradnie przebrnąć przez porośnięte gęstymi borami przedpola Nadrzecza. Wypłynąwszy na otwartą przestrzeń, rzeka, niczym szarżujący byk, brnęła przez okraszone trawami pola, a dotarwszy do stóp rozległego grodu, jakby z szacunku dla swego oblubieńca, zaginała bieg, zręcznym półkołem omijając siedlisko. Strzeliste palisady zaś, wyniosłe wznoszące się nad bezcennymi wodami, odpłacały pięknym za nadobne, roztaczając nad nimi swą opiekę.

Nad brzegiem Mirawy siedziało tego wieczoru dwóch sędziwych mężczyzn. W tkliwej melancholii i z niejakim rozrzewnieniem wpatrywali się w niezmiennie błękitne, lecz zarazem jakby mętne i oleiste wody rzeki. Owego dnia, kiedy to Słońce podejmowało się najdłuższej w całym roku wędrówki, wypadało święto Mirawianek. W czasach króla Rodogasta, za którego rządów spędzili oni lata swej młodości, dzień ten niezmiennie wypełniony był hucznymi uroczystościami. Spoglądając w przeszłość, zdawało im się, że jakiś cudowny kalejdoskop nałożony został na oczy ich duszy, bowiem widzieli świat tak odmienny od obecnego, że nawet najbardziej rozbijała fantazja nie zdołałaby go sobie wydumać. Ulicami przetaczały się ekstatyczne parady, oślepiające swych widzów plejadami tęczy barw. Przewodziły im gromady cudownych dziewcząt, co, spowite w śnieżnobiałe szaty i z wiankami na skroniach, rozrzucały przed uciesznym pochodem świeżo zebrane kwiecie, niby leśne rusalki płasząc wdzięcznie i wyśpiewując uroczne melodie. Całe miasto rozbrzmiewało wówczas tymi radosnymi tonami, czuło się, że jego serce bije żywiej i skoczniej niż w jakiegokolwiek innej porze. Obyczaj ów, tak wszystkim mieszkańcom miły, zarzucony został jednak przed wieloma

laty i jedynie najstarsi, którym nie opadła jeszcze na umysł zaćma, opowiadać mogą potomstwu o złotych wiekach przeszłości.

\*\*\*

Mrok chyłkiem zakradł się do Nadrzecza, w parę chwil spowijając gród kirowym puchem. Jedynie gromadka bladych ogników, podejrzliwie tłących się we wnętrzach niektórych izdebek, mąciła wszechwładną czerń. Gdy cień wpełznął na oblicze władcy, ten, przerywając czar bezruchu, oddalił się od okna i ruszył w kierunku łoża. Przykrywszy się grubymi kocami, monarcha pozwolił opaść swym powiekom i natychmiast zapadł w głęboki sen.

Obudził się w środku nocy. W komnacie panowała grobowa cisza, a niebo było spokojne, także Ardagast nie był w stanie dociec, co zakłóciło jego spoczynek. Zamknął zatem oczy, licząc, że po raz wtóry zanurzy się w rozkosznej topieli beczucia. Ta atoli nie nadeszła. Król począł się niecierpliwić. Na nowo rozwarł powieki i zawiesił wzrok na pokrytym wytwornymi freskami sklepieniu komnaty. Po paru chwilach tępego oczekiwania uświadomił sobie, że na duszy ciąży mu nieznośne napięcie, niby złowrogie ślepiea wpatrujące się weń z ukrycia. Nie mogąc dłużej zdźrzyć tego stanu, monarcha podniósł się z leża, wzuł wypchane owczym runem kozaki, okrył się grubym, wełnianym kocem i ruszył w stronę wyjścia, chwytając stojący na nakastliku kaganek. Jego wątyły, chwiejący się truchliwie w powietrzu płomień rzucał blade światło na pobielane ściany pomieszczenia. Odszukawszy w półmroku zimny, mosiężny klucz, monarcha wsunął go w zamek i z przeszywającym zgrzytem odsunął ciężkie, dębowe wierzeje. Prześlizgnąwszy się przez wpół otwarte drzwi, Ardagast poczuł, jak owiewa go chłodne powietrze zamkowego korytarza. Otulił się szczelnie kocem, po czym ruszył w kierunku schodów i rozpoczął wędrówkę w dół niezliczonych kondygnacji. Po chwili ogarnęła go nagła fala zwątpienia. Gdy uświadomił sobie, że właściwie nie wie wcale, jaki jest cel jego nocnej wędrówki, ogarnął go zimny pot. Rzucił okiem w stronę pnących się nad nim nieskończonymi spiralami schodów. Po chwili odwrócił jednak wzrok i siłą rozpędzonego ducha jął kontynuować wędrówkę, śląc po zastygłym gmachu echa swych kroków.

Kiedy wydostał się na zewnątrz, natychmiast oblepiły go wilgotne poddmuchy jesiennej nocy. Król ruszył ku znanej z dzieciństwa tajemnej szczelinie, prowadzącej poza obręb murów. Z niemalą trudnością odszukawszy ukryte przejście, wreszcie wydostał się na zewnątrz grodu. Gdy jego rozniecona młodzieńczym zapalem dusza ostygła nieco, powtórnie, niby lodowata szpila, ukłuł go w serce niepokój. Oblicze starca sposepniało. Nie mając dalszego planu działania, Ardagast postanowił udać się nad podobnie znane mu z dziecięcych czasów jezioro, zaszyte gdzieś w głębi rozpościerającej się przed nim kniei. Wziąwszy głęboki oddech, król

począł przedzierać się przez zastępujące mu drogę gęste chaszczce, które zarosły niegdyś udeptane leśne dróżki.

Po niedługiej wędrówce, jakby wynurzając się z ciemnej topieli, Ardagast wypadł na niewielką łąkę, skromnie oddzielającą leśną gęstwinę od mieniającej się w świetle księżyca tafli rozległego jeziora. Starzec nie śmiał zmrużyć oczu w obawie, że ten bajkowy obraz, jakby żywcem wydarty najgłębszym strzępom pamięci, rozmyje się w powietrzu, niczym mgielny opar pod gwałtownym wichrem.

Mroźny powiew przerwał błogą melancholię króla. W tej samej chwili, niby głos w przesytych drapieżną strzałą gardle, zginęły srebrzyste światełka, radośnie płasające dotąd po obliczu jeziora. Niebo zasnuły zwaliste bałwany, ujmując ziemi księżycowego blasku. Wiatr, którego forpoczta owiała przed chwilą lico starca, przybrał teraz na sile, śmiało kołyszając okalającym zalew listowiem.

Wtem tafła jeziora, wprzód krystaliczna i niezmacona, niczym zimowe niebo, zawrzała i zgęstniała, pieniać się przy tym wściekle. Gdy nagły szkwał osiągnął apogeum, powierzchnia na środku kipieli załamała się gwałtownie, ustępując przed wynurzającym się z niej potężnym cielskiem. Wpierw ukazało swoje oblicze olbrzymie łbisko, łypiąc swoimi czarcimi oczyma zza kaskad spływającej zeń wody. Wkrótce podążyła za nim reszta monstrum, podobnie okuta w łuskowy pancerz. Płomienisty wzrok zawisł wkrótce na kulącym się w bezruchu Ardagaście. Ogon bestii, niby żmij pełznący do gniazda, wił się przebiegle, jakby udzielała mu się ekscytacja z korzącej się u stóp jeziora ofiary.

Starzec skulił się trwożliwie, jak skazaniec wyczekujący chłodu katowskiej klingi. Jednak w głębi duszy przeczuwał, że tak będzie. Zbyt dawno porzucił ten gaj, aby zastać go niezmienionym. Jak w nie dogładanym ogrodzie, załęgły się tu trujące chwasty.

Wtem ozwał się smok:

– Muszę przyznać, że nie spodziewałem się twojego przybycia, Ardagaście. Jednak teraz jest już za późno. Zbyt dawno uwiłem tu swoje gniazdo, zbyt dawno rozpleniłem tu swoje ziarna i zbyt długo czerpałem z twojego jeziora. Teraz to ja stałem się panem tej krainy, a wkrótce zasiądę i na tronie Nadrzecza. Nie myśl bowiem, stary królu, że utraciwszy władzę w tym wieczystym gaju, ostaniesz się w swojej ziemskiej twierdzy. Przypieczętowana została twoja ruina!

Wraz z ostatnimi słowami gada oblicze jeziora rozjaśniało delikatnym, gwieździstym światłem. Jego źródło, zanurzone głęboko pod wodą, wraz z nasilającym się blaskiem stopniowo sunęło ku jej powierzchni. Wkrótce promienie zaczęły przenikać przez tafłę jeziora, wznosząc na niej lśniąca kopułę. Wtem ze świetlistej toni wynurzyła się postać niedużego

chłopca. Odziany był w śnieżnobiałą koszulę, a lico jego jaśniało efemerycznym blaskiem. Młokos ruszył przed siebie spokojnym, beznamiętnym krokiem i w tej samej chwili poniosła go na grzbiecie łagodna fala, chyżo sunąc po powierzchni jeziora. Minąwszy smoka i dopłynąwszy do brzegu, młodzieniec wdzięcznie zsiadł ze swego wodnego rumaka i stojąc w miejscu, zwrócił swoje eteryczne spojrzenie ku Ardagastowi.

– Dawno cię nie widziałem – powiedział z nutą melancholii w głosie.

Ardagast wpatrzył się w oblicze chłopca z oczami szeroko rozwartymi ze zdumienia, a jego usta, niby wyrzuconej na brzeg przez fale ryby, otwierały się i na powrót zamykały bezładnie, nie mogąc dobyć głosu. Po chwili jednak królowi udało się złożyć pytanie:

– Kim jesteś?! – rzekł chwiejącym głosem.

– Tobą... Byłem tobą... Teraz odchodzę już na zawsze – odparł chłopiec, a po jego twarzy spłynęła łezka.

Ardagast poczuł, jak myśli w zatrważającym tempie nabierają jasności. Najodleglejsze strzępki pamięci bezlitośnie jęły splatać się ze sobą, a potok myśli, wartko płynący na nowo udrożnionymi kanałami, niósł ze swym nurtem nieuchronne wnioski; nosek zadziornie zadarty, brwi nieco obłe, a pod nimi głęboko osadzone, modre oczy, jakby użyczone przez samą Minerwę... I te złociste, zaczesane na bok włosy, niby kłosa zboża przygięte silnym wiatrem! Król nie mógł mieć wątpliwości – ze skrytym rozczarowaniem wpatrywał się w niego młodziutki królewicz Ardagast, syn króla Rodogasta i następcą tronu Nadrzecza. W sercu starca wezbrał wstyd.

– Ja... przepraszam – wyszeptał bolejącym z żalu głosem.

Chłopiec wpatrzył się w ziemię.

– Już za późno – odpowiedział i zwróciwszy się w stronę smoka, począł iść w jego stronę.

– Nie! – błagalnie wykrzyczał słabym głosem król – Nie! Proszę, zostań! Zostań, ja się zmieniłem! Przyszedłem tu, aby wszystko naprawić!

Jednak młodzieniec sunął niewzruszony po tafli jeziora, nieustannie zbliżając się do gada. Ten zaś ponownie wlepił swoje ślepie w starca, wpatrując się w niego z nieskrywaną satysfakcją.

Ardagast podniósł się z klęczek i chwiejnym krokiem pokuśtykał przed siebie, lecz po chwili upadł, grzęznąc w bagnistym mule. W przypływie rozpaczliwej siły podniósł się na nogi i kontynuował marsz w głąb jeziora. Wkrótce sięgająca coraz wyżej woda pochłonęła siły starca, który raz po raz osuwał się na kolana, aby po gwałtownej szarpaninie z żywiołem wynurzyć się na powrót, parszając i plując spazmatycznie. Wtem w miejscu, gdzie dno zaliczało gwałtowny spadek, Ardagast stracił nagle grunt pod nogami i runął bezwładnie w

ciemną topiel. Lodowata otchłań momentalnie wyssała powietrze z jego spracowanych płuc, które po chwili jęła dławić woda. Oczy króla spowiła pulsująca, płonąca czerń, a on sam, wydawszy ostatnie, agonalne wierzgnięcie, osunął się wkrótce w niebyt.

Całkowicie pozbawiony jakichkolwiek zmysłowych doznań, Ardagast czuł się, jakby jego jaźń zawieszona została w nieskończonej pustce. Być może to ostatnia iskierka świadomości, niby kapitan tonącego okrętu, do końca wypełniała swój obowiązek, nim i ona nie zostanie zduszona przez bezlitosne zwały zimnej cieczy.

Wtem starzec dostrzegł beztrzesko płaszącą przed nim plejadę rozmytych światełek, niby gromada świetlików. Ogarki, raptownie rosnąc w liczbie, zaczęły formować wokół króla wirującą coraz szybciej spiralę. Wkrótce jej boki rozmyły się w podłużne linie, a całość gwałtownie wystrzeliła w górę. Nagle, z hukiem dziesiątki gromów, Ardagast przebił się przez powierzchnię jeziora i nie tracąc impetu, poszybował w przestworza.

Śnieżnobiały pegaz, młócąc powietrze potężnymi skrzydłami, zawisł w powietrzu, jakby w oczekiwaniu na rozkaz jeźdźca. Starzec potrzebował paru chwil, aby uspokoić oddech. Doszedłszy do siebie, rozglądnął się po rozwidnionej okolicy. Jego oczom ukazał się rozległy, pagórkowaty bór, pokryty płowo-rudą patyną i w wielu miejscach przerzedzony łysymi gałęziami. Odchodząc od jeziora, gąszcz żłobiła prosta szrama, niknąc po chwili w mgielnej zasłonie. Ardagast nie miał wątpliwości, że to tam musi się udać. Wierzchowiec zaś, bezbłędnie odczytując wolę jeźdźca, poderwał się energicznie i pofrunął w zamierzonym kierunku.

Niedługo zmuszeni byli obniżyć pułap, bowiem wypychająca przestrzeń gęsta mgła uniemożliwiała im śledzenie trasy pochodzenia gadziny. W nozdrza sunącego tuż ponad koronami drzew króla wgryzł się gorzki swąd palonej ziemi. Rumak, również odczuwszy smród, parsknął gniewnie, lecz dalej niewzruszenie brnął przez ciężkie obłoki, stopniowo szarzejące od siarczystego dymu.

Po chwili Ardagast spostrzegł, że ślad nagle się urywa. Wierzchowiec, dotarłszy do jego końca, zatoczył krąg, badając otoczenie. Nagle z głuchym szumem przetoczył się nad nimi olbrzymi cień. Pegaz zerwał się gwałtownie i zwrócił w jego kierunku, lecz ten zniknął już w gęstych zwałach. Zwierzę nerwowo poszybowało do góry w nadziei odnalezienia rzadszego powietrza, lecz na próżno – duszące opary nie ustępowały. Wtem z kłębow dymnej powłoki na powrót wyłonił się ciemny kształt, tym razem przecinając przestrzeń tuż przed nimi. Zza zasłony mgły przebił się przesywający blask gadziego oka, a po chwili wystrzelił z niej także zwieńczony harpunem ogon, niby piekielny bicz rozdzierając przestworza. Nawet niestrwożone dotąd serce pegaza ugięło się przed nieziemską grozą smoczyska. Zwierzę stanęło w locie dęba, a w jego ślepiu wstąpił szal.

– Myślałeś, że będziesz mógł mi się przeciwstawić, głupcze? – rozległ się tubalny głos, niby spadająca ze zbocza góry lawina.

– Oddaj chłopca! – odkrzyknął trzymający się kurczowo grzywy Ardagast, a słowa więzły mu w gardle.

Jednakże w tej chwili poczuł, jak w jego struchlałym duchu rozpała się żarliwy płomień gniewu, wkrótce przełamując władzę trwogi. Król podniósł swe ogniste spojrzenie, a ukazał mu się mroczny zarys gada, który zamiast poruszać się w jakimkolwiek kierunku, począł jedynie rosnąć w oczach. Ardagast wnet zrozumiał – smok przypuszczał właśnie frontalną szarżę, mającą ostatecznie roznieść w proch osaczoną ofiarę. Skupiając całość swej roznieconej woli, starzec z trudem opanował wierzchowca, po czym zwrócił jego rozpieniony pysk w stronę nadciągającej śmierci i pchnął go do przodu, niczym turniejowy rycerz ruszając wprost naprzeciw swego adwersarza. Wkrótce ukazały im się ślepie smoka, niby dwa drapieżne rubiny, samym swym spojrzeniem mogące uśmiercić zwierzybę.

Wzmógł się złowieszczy furkot, a gad, znajdujący się paręset sążni od ofiary, przybrał pełną formę. Zbliżywszy się na odległość rzutu oszczepem, rozdziawił swą paszczę, z której buchnął śmiertciony ogień. W ostatniej chwili Ardagast szarpnął za grzywę wierzchowca, który przekręcając się na bok, zanurkował w dół. Języki płomieni łapczywie liznęły skrzydła zwierzęcia, osmalając pokrywające je pióra. Pegaz zarżał z bólu, lecz posłuszny komendom jeźdźca wykonał następny manewr, podciągając łeb do góry i znajdując się na ogonie smoka. Ten zaś, przekonany, że płomienie strawiły ofiarę, kontynuował swój lot, nieświadomy pościgu.

Upewniwszy się, że gad nie zdaje sobie sprawy z ich obecności, król wzbił się z rumakiem nad swego niedoszłego oprawcę, po czym przypuścił morderczy atak, opadając na niego, niczym katowski miecz. Pegaz ugodził smoka prosto w kark, wrażając swój róg na całą długość. Gad wyprężył się w agonii i wydając ostatni, przedśmiertny skrzek runął z nieba. Atoli w ślad za nim pognał Ardagast, który spadłszy z rumaka nieprzytomny pędził teraz ku swojej zgubie. Wierny pegaz złożył skrzydła i niczym grom pomknął przez przestworza na ratunek swego pana, lecz mgielna gęstwina zazdrośnie ukryła w swoich trzewiach straceńca.

\*\*\*

Jedynie rusałkom wiadomo jest, ile minęło czasu, zanim Ardagast odzyskał świadomość. Otworzywszy oczy, ujrzał wirujący kalejdoskop płowej zieleni i rdzawej, lisiej czerwieni. Dopiero po chwili obraz ustabilizował się, pozwalając starcowi dostrzec skubiącego nieopodal trawę pegaza. Perłowo-biała niegdyś sierść przybrała barwę popiołu, a jej aksamitna faktura odsunięta została w niepamięć przez postrzępione, wyjałowione włosie, poprzecinane

gdzieniegdzie szpetnymi ranami. Pierze na skrzydłach okopcone było zaś czarnym nalotem, a bujna uprzednio grzywa ostała się li tylko w ubogich kępkach. Obrazu nędzy dopełniał złamany wpół róg, najważniejszy atrybut zwierzęcia tego gatunku, według niektórych będący źródłem jego nadzwyczajnych mocy. Atoli pegaz z niezmaconym spokojem skubał murawę, jakby nieświadom wszystkich doznanych szkód.

– Nie wierzyłem, że ci się uda – odezwał się delikatny głos.

Ardagast obrócił się, zaskoczony. Jego oczom ukazał się złotowłosy młodzieniec.

– To ty!? Udało ci się przeżyć!? – pytał z niedowierzaniem i objąwszy czule stopy chłopca, uległ potokowi łez.

– Cieszę się, że sobie z nim poradziłeś – powiedział młokos z melancholią – jednak ja muszę odejść – dokończył, a głos jego delikatnie załamał się przy ostatnim słowie.

Młodzieniec schylił się nad klęczącym u jego stóp starcem, a gdy ten podniósł zdumione oczy, złożył mu czuły pocałunek na czole. Następnie wstał i gwizdnął przeciągle, a po chwili chyżo przygalopował doń pegaz. Zwierzę, zgiąwszy kark, uklękło przed nim wdzięcznie, a chłopiec, zgrabnie dosiadłszy rumaka, wnet wzbił się z nim w przestworza, powoli sunąc ku niknącemu za horyzontem Słońcu.

Król Ardagast, nie rzekłszy ani słowa, wpatrzył się szklistymi oczyma w kształt niemrawo niknący w bezchmurnym, spowitym ciepłą łuną niebie. Po jego obliczu spłynęła łza.